Nr. 261.

Dodatek do „Gazety Narodowej"

z dnia 19. Września 1897.

Z Finlandyi na Ararat.

(Specyalne sprawozdanie dla *Gaz. Nar.*)

XII.

Na Wołdze we wrześniu.

Rozpocząłem więc wspaniały okres w mej wielkiej podróży, którego tytuł brzmi: „Ośm dni na Wołdze..." Mam przed sobą do przebycia tym wielkim strumieniem dwa tysiące kilkaset kilometrów, a więc odległość jak ze Lwowa do Neapolu. Daleko za mną pozostały ziemie słowiańskie, — olbrzymie te obszary, które obecnie przepływam, są zamieszkane przez fińskie i tatarskie szczepy — nieznające rosyjskiego języka.

Jakie to niezmiernie kulturne znaczenie ma każda droga wodna! Chwilami zapominam zupełnie, że płynę Wołgą, — zdaje mi się bowiem, że jestem na Missisipi — Ohio lub Hudsonie, gdyż olbrzymi piątrowy parowiec „Wielikaja kniaginia Ksenia", na którego pokładzie te słowa piszę, nie różni się wiele od tych pałacowych, niegdyś przezemnie tak podziwianych statków amerykańskich. Sto czterdzieści kroków długości a 25 szerokości, z potrójnym pokładem, z eleganckiemi kajutami i salonami — elektrycznie oświetlony, — rzeczywiście wierzyć się nie chce, że taki pałac na wodzie porusza się w kraju Czeremisów, Mordwów, Czuwasów, Wincsów i innych wpół dzikich szczepów zamieszkujących tę ziemię.

Oczywista, że pomieszczenie półtory setki turystów nie poszło nawet na tak wielkim okręcie gładko. Kajuty zajęły damy i pary należące bądźto sercem, bądź też kontraktem ślubnym do siebie; dla nas zaś urządzono sypialnie w rozmaitych salonach — a wielką przestrzeń pod pokładem, przeznaczoną zwykle dla podróżnych 3. klasy, przemieniono w salę jadalną. Piwnica i kuchnia wyśmienite, — a kawior.. co za kawior!... wszak jesteśmy w jego ojczyźnie, — prawie tak dobry i gruboziarnisty jak u Szkowrona, — a co się tyczy ceny, — no... powiedzmy prawdę... nie dorównał Szkowronowi, — gdyż tu sprzedają na „oka", a Szkowron na deka... Więc siedzę na pokładzie i z podziwem patrzę na ten nam wszystkim tak mało znany świat wschodni. Jak tu dziwnie... jak tu odmiennie! Na próżnoby kto oczekiwał na tych pałacowych statkach, które obok nas przepływają, widoku jaki się ma na parowcach Dunajskich lub Hudsońskich. Nie strojne damy — nie eleganccy panowie stanowią większość podróżnych, — lecz Tatarzy w chałatach i wysokich czapkach, — dzikie postacie w fantastycznych strojach, lub brodaci kupcy kacapscy, którzy tu świetne robią interesa. Tak!... to naśladownictwo naszej kultury, — to kultura pierwotna, kultura dalekiego wschodu.

Jak wielkie i ważne zadanie ma Rosya do spełnienia na tych rozległych, wpół dzikich obszarach! Dlaczegoż ona nie niesie światła swej cywilizacyi, swego języka, literatury i sztuki tutaj?... Wszakżeż płynę wśród kraju miliona Mordwinów, wieczorem będę za Kazaniem wśród mahometańskich Tatarów — jeszcze dalej przyjdą hordy Czeremisów, Czukczów, Kirgizów itp. szczepów, które czekają na kulturę, — dlaczegoż ten potężny rząd uwziął się tracić napróżno swe siły na próbach wynarodowienia Polaków stojących kulturnie najwyżej pomiędzy Słowianami?...

Dumając nad rozwiązaniem tej kwestyi, podziwiam z Wołgi Niżny Nowogród, który właśnie opuszczamy. — Wspaniale wygląda to miasto leżące wysoko w górze — i niktby nie przypuścił, że ono liczy tylko 70 000 mieszkańców. Jeszcze bardziej imponuje przystań, przypominająca wielkie międzynarodowe porty morskie ze swą niezliczoną ilością parowców, remorkerów, — a przedewszystkiem kolosalnych łodzi ładownych najrozmaitszym towarem. Co chwila spotykamy taką ciężką łódź ciągniętą przez maleńkiego parowczyka w górę rzeki. Na pokładzie widnieją dwa schludne domki z zielonymi dachami, w których kupiec i żeglarze przemieszkują całymi miesiącami.

Płyniemy po pod potężny, murami otoczony Kreml (tutaj każde większe miasto ma swój Kreml), z którego baszt odległe przemawiają wieki, — płyniemy po pod domki i ogródki przedmieścia, — nareszcie dostajemy się w dziedzinę puszczy. Setki kilometrów mamy ten sam obraz przed sobą: na prawej stronie zamieszkana wyżyna, spadająca stromą ścianą ku rzece, — na lewej niski brzeg — w postaci błót bezludnych lub głuchej puszczy leśnej. Oczywista, że uwagę naszą zwraca prawie wyłącznie prawy brzeg, gdzie co chwila ma się jakąś rozmaitość. Tutaj czerwona ściana poziomych pokładów permskich, ozdobiona lasem brzozowym i dębowym, — tam wioska mordwińska — samotna... biedno wyglądająca, jakkolwiek z pewnością nie uboga.

Czasami jakiś klasztor błyśnie zielonemi kopułami wśród drzew lesistego stoku, czasami buchnie dym z komina tartaku, przeczyszczającego puszcze leśne, a potem znów czerwona ściana, a na drugim brzegu łąki i lasy bezbrzeżne, bez końca...

Stan wody w Wołdze bardzo niski, gdyż w górnym jej dorzeczu panuje posucha od kilku miesięcy. Przepływamy często mielizny, gdzie ostrożnie badamy głębokość — z podziwem widzę, że wszędzie są urządzone boje a w nocy latarnie wskazujące niebezpieczne miejsca, jako dowód, że żegluga na Wołdze stoi wysoko. Cała potężna rzeka tutaj mało co większa niż Dunaj pod Pesztem, lecz proszę spojrzeć na te niezmierne piaski aluwialne po lewej stronie, aby mieć pojęcie jak rzeka wygląda przy wyższym stanie wody. Jakoż rzeczywiście ilość statków i łodzi, które co chwila mijamy, jest niezmierna, i łatwo mi teraz uwierzyć urzędowym zapewnieniom rosyjskim, że na Wołdze krąży około 30 000 okrętów!..

I wieczór zapada, cichy, uroczy, jasny, gdyż księżyc prawie już w pełni. Jakżeż słodko marzy się w jego mdłem świetle na tych poważnych, tajemniczych wodach! Oko moje biegnie w oczerety i puszczę leśną lewego brzegu, — ileż tu jeszcze ziemi, ile pól i lasów, leżących odłogiem. Patrzę na tę smugę świetlaną na wodzie, spoglądam na brzegi i czasami zdaje mi się, że płynę ojczystym Dniestrem, nad którego brzegami stała kolebka moja. Nie! Dniestr jest o wiele piękniejszy, nie ma tu bowiem tych uroczych skał wapiennych i gipsowych, nie ma bujnej roślinności naszej, nie ma tych lesistych jarów i wesołych wiosek nad brzegami, tu świat pusty, dziki, wschodni.

Na statku błysnęły światła elektryczne, słuchamy w salonie koncertów potem idziemy pod pokład na obiad. Zebraliśmy się razem Polacy, dalej dr. Bock, dyrektor instytutu geologicznego w Budapeszcie, Zlatowski, rektor uniwersytetu w Sofii i kilku Rosyan kółko wesołe — słowiańsko-węgierskie. Przyłącza się do nas sławny petrograf dr. Zirkel, obecnie profesor w Lipsku, a niegdyś przed laty za niemieckich czasów mój poprzednik na katedrze uniwersytetu lwowskiego. Bawimy się wesoło, bo też chwile szczęścia w życiu ludzkiem są krótkie. Niedługo — a zjedziemy się razem w Władykaukazie, ażeby odbyć wspólną wycieczkę przez Kaukaz do Baku, a potem rozstanie, gdyż prawie wszyscy wracają stamtąd przez Krym do domu z wyjątkiem około trzydziestu waryatów, przeważnie Anglików i Amerykanów (między którymi ja jeden Polak) którzy karawanami — wśród znoju i trudu jedziemy na perską granicę, na górę świata, sławny Ararat, do ojczyzny naszego Romcia lwowskiego (R. T. w *Gazecie Narodowej*) i innych mniej lub więcej ucywilizowanych Ormian.

Obiad się skończył — damy grają na fortepianie i śpiewają, miłosne pary gruchają po ciemku, więc jestem rozmarzony i obawiam się, że lada chwila poczne płakać lub komponować wiersze, dla tego będzie najlepiej, jeżeli gwoli zachowania mej powagi — kończąc ten pierwszy list z Wołgi pójdę spać obiecując za parę dni nowy zajmujący opis podróży.

Dr. Emil Habdank Dunikowski.

Z literatury.

(Józef Kallenbach: Adam Mickiewicz, tomów dwa, Kraków 1897).

Profesor języków i literatur słowiańskich na uniwersytecie fryburskim w Szwajcaryi wzbogaca tą publikacyą na wielką skalę podjęte u nas studya o Mickiewiczu. Oceny utworów wieszcza i próby określenia jego stanowiska w polskiem społeczeństwie i literaturze poczęły się wcześnie, bo jeszcze za życia Adama. Nie były one wszakże i z natury rzeczy nie mogły być wyczerpujące, lata całe i doświadczenia różne składały się na to dopiero, by z czasem przedstawić nam dokładny obraz poety. Prace w tym celu podjęte miały dwojaki kierunek: jedne zbierały z możliwą dokładnością materyał biograficzny a znalazły ostatni swój wyraz w czterotomowej monografii poety, skreślonej ręką jego syna Władysława — drugie starały się wyświetlić kierunek jego poetyckiej twórczości, odtworzyć wizerunek duchowy poety ze wszystkiemi jego zaletami i słabościami i dopiero z pomocą tych badań wykazać duchowy jego rozwój od pierwszej młodości aż do ostatnich chwil życia. Tego rodzaju studya wszakże nadzwyczajne przedstawiają trudności. Wymagają bowiem wielkich przygotowań i znajomości biograficznych szczegółów, a nadto poznania współczesnych prądów religijnych, filozoficznych i społecznych, których wpływom podlegał więcej lub mniej świadomie poeta. Skoro pierwsza część zadania w wielkiej części dotąd została zbiorowemi siłami spełnioną, rozpoczął na niej oparty p. Kallenbach swą pracę o właściwym rozwoju duszy poety. Już na wstępie powiedzieć możemy, iż rok jubileuszowy Adama urodzin, który Królestwo pragnie uczcić pomnikiem tak rzadkiej ofiarności — uświetni nie pomało to głębokie a świetne studyum fryburskiego profesora i będzie dla największego z naszych narodowych wieszczów prawdziwym duchowym monumentem.

Jak zaznaczyliśmy, p. Kallenbachowi w tem studyum chodziło przedewszystkiem o przedstawienie duszy poety od pierwszych chwil życia: jak się ten duch Adama rozwijał, jakim ulegał wpływom i jakim pod tychże działaniem w kolei czasu pozostał. Rzecz, jak każdy z czytelników odrazu poznaje, nader ciekawa i ponętna ale też i trudna. Autorowi udało się wyzyskać dla swych celów kilka nowych a nie wszystkim dotąd znanych lub dostępnych źródeł i szczegółów. Szczęśliwych tych odkryć owocem jest n. p. wykazanie bardzo doniosłego a zbawiennego wpływu na obudzenie uśpionego religijnego ducha w Adamie księdza St. Chołoniewskiego. (Tom I. str. 291 i nast.) Zużytkował też tu autor gruntowną pracę czcigodnego Ojca Smolikowskiego o początkach religijnego odrodzenia na wychodźctwie, które, o czem dziś wiemy wszyscy — było głównie dziełem Mickiewicza i jedną z największych jego zasług społecznych.

Mamy też dokładnie udowodniony i wyjaśniony wpływ pism Jakóba Boehma i Saint Martin'a na późniejszy mistyczny kierunek Adama. Oczywiście nie poprzestał autor na ogólnikowej wzmiance o tych osobistościach, ale zadając sobie pracy niemało, podał nam treść ich nauki, dążności ich zgubne i fałszywe zasady. — Dziwna tylko — jak Mickiewicz w epoce największej swej prawowierności katolickiej (w latach 1833—1839) mógł się zachwycać zagorzałym przeciwnikiem papiestwa i niezgodnym z nauką katolickiego Kościoła Boehmem lub Saint-Martinem. A przecież widoczny jest wpływ mistycyzmu już w „Dziadach", a w korespondencyi z Odyńcem z roku 1835 wyraźnie temu ostatniemu zaleca Mickiewicz czytanie dzieł Saint Martina.

Scharakteryzować mistycyzm ten to rzecz nader trudna, ale p. Kallenbachowi chodziło o wytłómaczenie tego niezrozumiałego dla nas faktu — jakim to sposobem apostoł emigracyi przerzucił się później tak łatwo a stanowczo w objęcia towianizmu, dlatego rozbiorowi dostępnych jeszcze pism Saint-Martina poświęcił w książce sporo miejsca, by ich przedstawieniem umożliwić paralelę i uwydatnić wielkie podobieństwo z nauką Towiańskiego. Po tych przygotowawczych uwagach zrozumie czytelnik łatwiej ów nieszczęśliwy zwrot w życiu Mickiewicza.

„Samo uzdrowienie żony (autor takowe jak najdokładniej rozbiera i dowodzi, iż nie było ono ani raźne i natychmiastowe ani zupełne — tom II. str. 284 i 285, uwagi;) nie mogło by jeszcze skłonić Mickiewicza do przyjęcia nowego zakonu... w naturze poety, w usposobieniu jego, w poprzednich nastrojach duchowych należy szukać pierwszych zarodków tej ewolucyi, która doprowadzić go miała do messyanizmu... Towiański rzucił tylko iskrę na prochy mistyczne, dawno w jego (Adama) duszy złożone". (Str. 296, tom II.) Te właśnie „prochy" pozostały w umyśle Adama po zagłębianiu się w pisma onych mistyków, z których i Towiański korzystał umiejętnie a tem samem nowa nauka znalazła podatny, bo wspólny grunt i zgodność zapatrywań.

Prócz tych czysto psychologicznych kwestyi omawia p. Kallenbach również i inne pisma i prace poety, o ile z nich wyłania się dusza mistrza w swych genialnych przymiotach. Pełno tu poglądów nowych, spostrzeżeń trafnych i cennych uwag, a już najwybitniej odznacza się w tym rozbiorze literackim rozbiór „Dziadów". Śmiało możemy powiedzieć, iż to co autor o tym utworze powiedział, przewyższa wszystko, co dotąd o „Dziadach" rozprawiano i pisano. Próby dramatyczne Mickiewicza są również ocenione — mniej może pochlebnie — jak to dotąd uczynił p. Tarnowski, ale nikt nie zaprzeczy, iż sprawiedliwie i zupełnie bezstronnie.

Ciekawym wielce a z wielu względów również nowym jest ustęp o pracy Mickiewicza w Lozanie. Raporty urzędowe dyrektora gimnazyum, w którem Mickiewicz uczył i rektora akademii przytacza autor w dłuższych wyjątkach a są one dla nas bardzo cenne i interesujące; bo najprzód są pięknymi dowodami uznania zasług i wiedzy przez obcych poety — profesora — a następnie wskazują na szlachetny charakter Adama, szczerze aż do owej pory do chrześcijańskiej przeszłości i literatury przywiązanego. Jakie to świetne musiały być wykłady, skoro obcy dają o nich takie pochwały: „Przytacza z pamięci fragmenty, często wcale długie autorów łacińskich, porównywa je z innymi i rozbiera; zwraca uwagę na właściwości językowe, konstrukcyjne, syntaktyczne... aby wytłumaczyć zalety stylu i poezyi, improwizuje prozą łacińską przekład wierszy jakiego poety, wykazując sposoby i bogactwa języka poetycznego". (t. II., str. 237. świadectwo rektora akademii, Monnarda).

Stając u kresu mozolnej swej pracy daje nam p. Kallenbach raz jeszcze ogólny pogląd na życie duchowe, na zasługi Mickiewicza i wskazuje na źródło, skąd potężne jego uczucie czerpało swe siły.

„Bez względu na większą lub mniejszą zgodność z dogmatem kościelnym, należy przedewszystkiem stwierdzić u Mickiewicza stałą, niezmienną od dzieciństwa do grobu trwającą wiarę w istnienie świata zazmysłowego, świata duchów i wiarę w źródło wszelkiej duchowości — wiarę w Boga... Ponad wielkim rozumem poety i gorącem jego uczuciem wznosi się dar z niebios: wiara. Młodzieńcza jego wiara, bezbrzeżna streszcza się w hymnie na dzień Zwiastowania Najśw. Panny. Niedola filarecka i chłód wygnania obniżają temperaturę uczuć religijnych poety... pobyt w Rzymie rozgrzewa i pokrzepia poetę." (t. II str. 391.)

Nie chcąc przeciągać i tak już długiego rozbioru tej zajmującej książki dalszymi wyjątkami, powiemy krótko, iż ten końcowy ustęp, w którym streszczając wszystkie szczegóły życiowe, starał się p. Kallenbach dać wizerunek dokładny ducha poety — jest nie zrównany i dostraja się znakomicie do tak po mistrzowsku nakreślonej całości. Czem oddychał i żył, czego pragnął dla ojczyzny, nad czem pracował życie całe, przez co stał się dla narodu wieszczem niedościgłym i niezrównanym — wszystko to w tem domówieniu jasno a logicznie zdołał autor przedstawić.

Nie wątpimy, że niejedno zdanie i sąd p. Kallenbacha znajdzie w literackich kołach silnych przeciwników. Podniósł już p. Tretiak w swej recenzyi tej książki kilka takich wątpliwości; wyznajemy wszakże, że prócz małych nieporozumień chronologicznych nie znaleźliśmy w zarzutach p. Tretiaka wiele racyi i siły. Ale cokolwiek powie krytyka i na słońcu odnajdująca plamy — przyznać przecież będzie musiała, iż studyum p. Kallenbacha jest dziełem poważnem, oryginalnem w pomyśle i przeprowadzeniu, sumiennem w opracowaniu i że daje nam — jak żadna dotąd inna o Mickiewiczu praca — „najpełniejszy wizerunek duchowy wielkiego poety, najpełniejszą historyę rozwoju jego ducha."*)

Publikacyi takiej, napisanej przytem żywo i zajmująco, owianej ciepłą i serdeczną atmosferą pietyzmu i czci prawdziwej dla mistrza, natchnionej wielką miłością wiary św. i Kościoła, życzymy jak najlepszego powodzenia i gościnnego u czytelników przyjęcia.

Ks. Antoni Boc, T. J.

*) Słowa p. Tretiaka w zakończeniu recenzyi pomieszczonej w *Czasie*, nr. 179 br.

Migrena.

W wieku naszym, w którym nerwy główną rolę odgrywają rolę, mało znajdzie się zapewne szczęśliwców, na których słowo „migrena" małe sprawia wrażenie. Na większość oddziaływa słowo to w sposób bardzo przykry, nawet bolesny. Przejmuje ich obawa przed tą chorobą, jak również przed całym arsenałem rozmaitych medykamentów takich jak antipyrina, fenacetyna, chinina i t. d. A wszyscy cierpiący używali tych środków, chcąc ból gwałtowny usunąć i dokonywali tego, ale tylko na chwilę. Wkrótce migrena wracała z podwojoną siłą. Położenie cierpiących zdawaćby się mogło bez wyjścia, kiedy nie pomagają nawet leki *ina*, *in* i t. d. A jednak tak nie jest, bo znaleziono środek na zupełne usunięcie migreny, *nota bene* zapewne nie u każdego.

Jeden z lekarzy niemieckich uderzył niedawno w artykule dziennikarskim na nieporadność lekarzy wobec migreny, upatrując powód w tem, że dotychczas uważano zawsze migrenę za chorobę nerwów a taką ona — zdaniem autora — nie jest. Jest ona niczem innem, jak tylko objawem jakiejść słabości fizycznej i jej następstwem. W wielu wypadkach — twierdzi autor — chory wyleczy się sam, jeżeli się powstrzyma od kawy i herbaty i zmieni sposób odżywiania się. Najczęściej atoli leży przyczyna słabości w trudnem trawieniu mąki krochmalnej i w chorobach żołądkowych. Niemiecki doktor upatruje także główną przyczynę migreny w rozkładaniu się zawartości żołądkowej. Chcąc więc chorobę usunąć, należy przedewszystkiem zakazać używania takich pokarmów, które rozkładowi podlegają. Powinni zatem ludzie, cierpiący na migrenę, unikać masła, sera i drobiu. Nie mogą oni dalej używać ostryg, ryb, raków i mięsa surowego. Mleka należy używać tylko bardzo rzadko.

Wyliczywszy szkodliwe dla cierpiących na migrenę potrawy, podaje autor dyetę, której się trzymać powinni. Zaleca przedewszystkiem kumys, ale nie zwykły, zmieszany z drożdżami, lecz taki, który wyrobiony jest z mleka przefiltrowanego i bez drożdży. Napoju tego powinien chory wypić dziennie trzy do sześć flaszek, o godzinie 3 rano, 12 w południe, 3 popołudniu i o 7 wieczór. Kumys można pić z jajami. Chleb, bez drożdży, groch, bób, soczewica są dozwolone. Jarzyn, oprócz selerów i jarmużu, używać wolno, ale przedewszystkiem szparagów i kalafiorów. Kto podda się takiej dyecie, może być pewnym, że w przeciągu tygodnia uwolni się od migreny.

W przypadkach, gdy nastąpiła migrena z powodu trudnego trawienia mąki krochmalnej, powinien chory spożywać same posilne potrawy a przedewszystkiem potrawy mączne przyprawione z sobiem owocowym. Dyeta jego składać się powinna z kumysu, jaj, owoców a szczególnie z orzechów i jarzyn.

Po kilku tygodniach — zapewnia ów lekarz niemiecki dr. Kellog — migrena ustanie na zawsze.

ROZMAITOŚCI.

Kąpiele północne w Norderney. Z powodu stałej i pięknej pogody jest napływ kąpielowców do Norderney bardzo wielki, a w ostatnich czasach wzmógł się jeszcze bardziej. Liczba osób tam przebywających wynosi dotychczas 20.500. A przybywa ich coraz więcej. Przyczynia się do tego to, że zakład dba o uprzyjemnienie czasu swoim gościom. Niedawno odbył się tam koncert na cele dobroczynne, pod protektoratem ks. Fryderyki Augusty saskiej. Czysty dochód, w kwocie 4.000 marek, oddano znajdującej się w zupełnej nędzy rodzinie tamtejszego służącego kąpielowego. Urządzono tam także bazar dobroczynny, połączony z koncertem, a dochód z niego przeznaczono na dotkniętych powodzią w Niemczech. — Na liście kuracyjnej czytamy wiele nazwisk ksiażęcych. Oprócz bowiem ks. saskiej, wyżej wymienionej, a przebywającej tam z jej małżonkiem, bawią tam jeszcze książę i księżna sasko-meiningen, ks. Adolf szaumburski z rodziną. Przez pewien czas przebywał w Nordernej hr. Herbert Bismark z żoną, a przed niedawnym czasem przybył tam feldmarszałek generał hr. Blumenthal. Słowem sezon tegoroczny uchodzić może za najwspanialszy.

Gdzie plus, a gdzie minus. Do polskiego gimnazyum cieszyńskiego, a mianowicie do pierwszej klasy zapisało się w r. b. 79 uczniów, klasa pierwsza natomiast w gimnazyum niemieckiem liczyła w roku 1896 uczniów 91, w roku 1897 uczniów 80, a w roku bieżącym tylko 51.

Straszna vendetta! Z Brukseli donoszą: Niewiadomego dotychczas nazwiska podróżny w pierwszej klasie w pociągu pospiesznym, zdążającym z Brukseli do Kolonii przy opuszczeniu granicy belgijskiej, zasztyletowany został przed kilku dniami przez towarzysza podróży, który zwłoki poćwiartował i na tor wyrzucił. Motywem była podobno zemsta.

W dyrekcyi kolejowej. *Wiener Tagbl.* z powodu wydarzających się ostatniemi czasy wypadków na kolejach austryackich zamieszcza następującą satyrę:

Pani wchodzi do biura jednego z wyższych urzędników dyrekcyi i kłaniając się z płaczem mówi: Jestem Marya Duteil. Chciałabym...

Urzędnik wesoło: Bardzo się cieszę, czem mogę służyć?

Pani: Mój mąż Antoni Duteil wyjechał dziś rano, boję się czy w dzisiejszej katastrofie kolejowej...

Urzędnik: W której?

Pani: Sądzę, że koło Crecy, wyjechał bowiem o 8 minut 50. (Przykłada chustkę do oczu).

Urzędnik (wzruszony). Ale proszę niech pani usiądzie. Więc pani przypuszcza, że przy wypadku, który punktualnie wedle rozkładu jazdy o g. 9 rano się zdarzył. (Do służącego): Jan, przynieś mi wykaz zabitych — daruje pani — i rannych pod Crecy.

Pani (przeglądnąwszy wykaz, radośnie woła). Dzięki Bogu, nie ma tu nazwiska mego męża.

Urzędnik: Nie jest jednak rzeczą wykluczoną, że mąż pani... O godz. 9 min. 30 było jeszcze wykolejenie, a o godz. 10 zawalenie mostu a o g. 11 m. 27...

Pani (przerażona). A więc możliwe jeszcze...

Urzędnik: Zaraz zobaczymy. (Przeglądają wykazy) tu nie ma, tu także — ale tu pani...

Pani wydaje okrzyk boleści.

Urzędnik (czytając) Antoni Duteil...

Pani (płacząc) O Boże, Boże!

Urzędnik: Ależ pani, on tylko ranny.

Pani: Na kolei, ranny,

Urzędnik: Ależ proszę pani, to się zdarza codziennie! Janie odprowadź panią do powozu i nikogo teraz nie wpuszczaj do biura (patrząc na zegarek). Za dziesięć minut nastąpi zderzenie w St. Montin.

Kostyumy myśliwskie Paryżanek. Dla pań, które chcą ton w świecie nadawać, jest zawsze nieodzowną rzeczą, brać udział we wszystkiem, co nowe, co wchodzi w życie. Wprawdzie niektóre z nich, a szczególnie te, które należą do familii dawnych i którym właśnie ta dawność pochodzenia zapewnia na zawsze wysokie położenie towarzyskie, mogą nieraz obowiązków względem mody zaniechać, nie narażając się wcale na zdyskredytowanie u modnego świata, bo zostaną zawsze tem, czem są, t. j. spadkobierczyniami wielkich antenatów, ale obok tych uprzywilejowanych pań z wielkiego świata, nie brak i takich, które dopiero zarabiają niejako na przyszłość i które nie mogą się pochlubić wielkim pocztem przodków. Takie panie, jako homines novi, muszą dobrze mieć się na baczności, ażeby nie uchybiły w czemkolwiek przepisom mody, bo w takim razie musiałyby się uważać za zgubione w opinii pań innych, hołdujących modzie.

Można z tego co powyżej powiedziano powziąć niejakie wyobrażenie o przygotowaniach do wprowadzenia nowego kostyumu myśliwskiego dla pięknych Paryżanek. Jakżeż on będzie wyglądał? Ubranie będzie z brunatnego lub ciemnożółtego szewiotu, a składać się ma z kurtki, o wyciętym i w fałdy ułożonym przodzie, z filcowego kapelusza i z kamaszów.

Kurtka musi być, stosownie do mody, krótka, nie wycięta z tyłu. Do tego stosowny kapelusz tyrolski i sznurowane trzewiki na niskich obcasach i ostre kończaste szpice. Kamaszki mają być wysokie, sporządzone z nieprzemakalnej skórki koziej.

Oprócz ubrań ciemnych modne są także i innego koloru. Do najmodniejszych należą ubrania z modrego szewiotu, z żółtą skórzaną przepaską, bluzka sięgająca do bioder, z wielkimi kieszeniami, zupełnie obcisła, kapelusz takiegoż koloru, przepasany szkocką szarfą i ubrany piórami.

Ponieważ polowanie trwa nieraz przez dni parę i myśliwi na ten czas kwaterują się w jakiejś wsi, przepisany jest także strój towarzyski, osobny do obiadu, a osobny do wieczerzy.

Na wieczór służyć ma strój z niebieskiej *serge* z białemi sznurami, przytem wielki kołnierzyk i biały kapelusz, zdobny piórami i wstążkami. Przy obiedzie obowiązuje strój koloru turkusowego z *crepe de Chine* przepasany niebieską wstęgą. Stanik wycięty do pół piersi o długich ramiączkach.

Zgubiony Człowiek

Opowiadanie

powtórzyła

Marya Minasiewiczowa.

(Dokończenie.)

Nagle Pola przyskoczyła do siostry, chwyciła ją za ramiona i szybko odwróciła do siebie, a wtedy ja spostrzegłem oczy łez pełne i usteczka drżące mojej ondyny dziewczki. Co się ze mną stało w tej chwili? Nie wiem, kiedy się u stóp jej znalazłem, nie wiem, co powiedziałem, nie wiem, czy i co ona odpowiedziała, nie wiem, dość, że od tej chwili przepadłem! Kiedym się ocknął, trzymałem jej małą rączkę przytuloną do ust, a jej oczy z poza łez uśmiechały się do mnie tak serdecznie! Pola zaś prawiła:

— Wiedziałam, że to się na tem skończy! Baśka filut, nie chciała się przyznać do niczego, dowodziła mi, że ona się pana boi, kiedym jej pytała, coby zrobiła, gdyby się pan oświadczył, utrzymywała, żeby odmówiła, bo pan podobno bałamut, nie stały i t. d. Albo i ta scena na wystawie. Boki zrywać! Kiedy pan odszedł, ona zaczyna się dąsać, że się nigdzie ruszyć nie można swobodnie, że za dużo już tego pańskiego natrętnego ścigania. Wtedy ciocia powiada:

— Jeżeli chcesz go uniknąć, na to można znaleźć sposób bardzo łatwy: zamiast na wystawę, chodźmy do domu. Ale, Basiu, to będzie prawie odprawa. Rozstrzygnij więc sama, czy wolisz iść dalej, czy wrócić?

Basia blada, ale to blada, jakby zemdleć miała, odpowiada stanowczym gniewnym tonem:

— Oczywiście wrócić.

— Stanowczo?

— Zupełnie stanowczo.

Wracamy więc i milczymy wszystkie, bo mnie jakoś troszkę żal było pana, w tem Stasia szepcze:

— Basiu, popatrz, ot tam idzie ta panna Lena.

Spojrzała na nią i zbladła jeszcze bardziej, ale nie odrzekła ani słowa. Stasia zaś mówi:

— No, to Józio dziś dostał po nosie! Pewno z rok go nie zobaczymy, bo ja sama obraziłabym się za coś takiego!

Wtem zaturkotała za nami dorożka, a Basia nieznacznie usiłuje spojrzeć na drogę, po twarzy jej przelatują płomyki... W dorożce siedziało jakichś dwóch starych jegomościów. Całą drogę oglądała się niespokojnie, przystanęła pod bramą, wychyliła się na zakręcie schodów... Nie przerywaj mi, nie, może mówię nieprawdę? Tak, tak było, panie Józefie, jeszcze u cioci cały wieczór drżała, gdy kto drzwi otworzył, a ja sobie pomyślałam tylko: Aha, to tu raki zimują! Jeżeli on wróci, to pewno będzie weselisko! A ja się tem bardzo, bardzo cieszę! Żebyście wiedzieli, jaką sobie śliczną sprawię suknię jako druhna? Cacko!

Przez cały ten czas trzymałem moją drogą małą rączkę i mało nie zjadłem jej pocałunkami, w tej chwili jednak z przyzwyczajenia przerwałem Poli:

— Ale wie pani, jaki to jest zwyczaj? Musimy wypić „Bruderschaft". Cóż pani na to?

— Oo, wielkie rzeczy!

— A pani wie, jak to wygląda?

— Wiem, wiem, opowiadał nam raz Gucio, ten nasz brat cioteczny. Przekłada się rękę, od tak... (tu pokazuje na ręce Basi) i wypija się wino z jednego kieliszka.

— I to wszystko?

— A naturalnie. Tylko potem trzeba sobie już mówić „ty".

— Przepraszam bardzo! Wypiwszy wino, trzeba się jeszcze pocałować, panno Polu, pocałować z takim, jak ja brzydalem.

— O pfe! — woła oburzona i dodaje zaraz — ale to nieprawda.

— Prawda, święta prawda i, jak mi Bóg miły, tego nie daruję! Będzie to zapłata za owego lansjera, do którego byłem pani za brzydki!

Powiadam wam, jaki ja byłem tego dnia szczęśliwy, jaki szczęśliwy! A tu cieszyłem się własnem nieszczęściem, bo dziś doprawdy wyznam wam chyba pod sekretem, tylko nie śmiejcie się ze mnie, jestem kompletnie zawojowany! Przepadła dawna swoboda, dawne bałamuctwa, dawna nieopatrzność. Moja żonka robi ze mną co zechce swojemi oczętami. Wszak to minęło już trzy lata, jak nie chodzę na koleżeńskie śniadania, nie bywam w kawiarni, rzadko kiedy w cukierni. O, o! Moja Basia to bardzo zręczna osóbka! Za kawalerskich czasów przywykłem koło szóstej popołudniu schodzić się w cukierni z gromadką takich, jak ja, sowizdrzałów. Po ożenieniu rad byłem pochwalić się koleżkom taką śliczną, moją właśniuteńką żoną, więc raz i drugi wyciągnąłem ją z sobą. Aż może w tydzień przy gawędce moja mała poetka (poetki także umieją czasem rachować), tak, trochę żartem oblicza, że ta wycieczka do cukierni stanowi wcale sporą rubrykę wydatku.

— Ależ moja Basieńko, przejść się trzeba — tłómaczę.

— Czyż to nie lepiej pójść gdzieś za miasto, lub choćby do owego parku, gdzie do dziś dnia znaleść można szczątki bukietów i wspomnienie zapalczywości mojego łagodnego baranka (lubi mi przypominać tę niefortunną porażkę, bo utrzymuje, że ona nas właśnie połączyła), niż oddychać dymem cygar...

— Możemy zostawać w sali dla niepalących.

— Toby za ciężka była dla ciebie ofiara. Mnie zresztą kawa cukiernicza nie smakuje, mogę mieć lepszą w domu, to też wolałabym zmienić te zwyczaj.

— Widzisz dziecino, ja potrzebuję przecie pogawędki, więcej czasopism, niż ich w domu mieć mogę...

— To chodź sam do cukierni, Józiu. Wracając po pracy, możesz wstąpić, przyjdziesz godzinkę później do domu, a przecie wszystko jedno, kiedy wyjdziemy na przechadzkę.

Wstąpiłem więc sam, ale tylko raz jeden. Człowiek ożeniony przestaje być sobą, coś go ciągnie do słodkiej domowej tyranki. A gdy raz zostałem w domu i zobaczyłem moją żoneczkę uwijającą się koło maszynki z kawą, z taką komicznie arcypoważną minką, żal mi już teraz wyrzec się tego widoku.

W ten sposób kapitulowałem własnowolnie na różnych punktach, aż dziś niestety wyznać muszę, że jestem kompletnie zgubionym człowiekiem, bo nie mam już ambicyi podźwignięcia się z upadku.

Z Polą piliśmy „Bruderschaft" i całowaliśmy się niezliczone razy, choć uważam, że się zawsze obciera nieznacznie — kłócimy się, ile razy przyjdzie i to nieraz naprawdę!

KONIEC.